

Wędrówki alpejskie

Wawrzyniec Żuławski

**Wydawnictwo Sklepu Podróżnika
Warszawa 2018**

Innominata

Innominata⁶ – „turnia nie nazwana”! – wysmukła piramida, ginąca w masie monumentalnego cielska Mont Blanc. Wraz z Picco Eccles, jak dwa potężne pylony⁷, strzegą wrót południowej ściany najwyższego szczytu Europy. Gdy przejdziesz te wrota, ściana ogarnia cię jak morze. Widzisz piętrzące się nad tobą skalne turnice; mienia się w słońcu różnymi barwami: szarą, różową, piaskowożółtą, zielonkawą i brunatną. Widzisz dokoła kolosalne żleby, depresje, kominy, w których iskrzą się w słońcu niebieskozielone zwały lodu.

Świat rozciąga się teraz nad twą głową i pod twymi stopami. Gdy zbliża się południe, w kominach i żlebach grzmie lawiny. Masy rozprysniętego lodu, dziesiątki wielkich głazów wałęsają się w dół w obłąkanym pędzie. Wkoło rozgrzane słonecznym żarem powietrze drga od huków. Śnieg, po którym stąpasz, jest rozmiękły, lecz nie gasi dręczącego pragnienia. O kilkadziesiąt kroków – tak blisko zdawałoby się, a jednak już poza zasięgiem stopy ludzkiej – z lodowych sopli ściekają wąskie strumyczki wody. Gdzieś w odległym żlebie szumi wodospad.

⁶ Droga na Mont Blanc granią Innominaty została poprowadzona w dniach 19-20 sierpnia 1919 r. przez zespół w składzie: Stephen Lewis Courtauld, Edmund Gifford Oliver oraz przewodnicy Adolf Aufdenblatten, Adolphe i Henri Rey (przyp. red.).

⁷ Pylony – wieże w kształcie piramidy, stojące po obu stronach wejścia do świątyni egipskich (przyp. autora).

W tej właśnie ścianie spędziliśmy z Tadeuszem Bernadzikiewiczem prawie całe pięć dni. Były to dni ciężkiej walki o życie w groźnym, plującym lawinami urwisku. Te dni i noce, gdy szalejące raz po raz śnieżyce wysysały z nas wszystkie siły, kruszyły wolę oporu – te dni pozostaną na zawsze w pamięci...

Popelniliśmy tu wiele błędów. Zbyt ciężki ekwipunek, plecaki ważące po kilkanaście kilogramów opóźniły znacznie nasz pochód. Zła interpretacja lakonicznego opisu zdobywców tej rzadko podówczas odwiedzonej drogi spowodowała niedocenienie jej trudności. Dziś wiadomo już, że jest to jedna z najtrudniejszych, jeżeli nie najtrudniejsza z dróg wiodących na szczyt Mont Blanc. Wtedy jednak porwaliśmy się na nią dość pochopnie, wkrótce po przyjeździe w Alpy, nie osiągnąwszy jeszcze pełnej kondycji i formy. Byliśmy wówczas doświadczonymi taternikami – nie dość jednak doświadczonymi alpinistami i do wyczynu tej klasy nie dojrzeliliśmy jeszcze.

Nie błędy jednak zdecydowały ostatecznie o ciężkich przejściach, które czekały nas w ścianie. Główna przyczyna tkwiła w wyjątkowo niesprzyjających warunkach lodowych i atmosferycznych, na jakie natrafiliśmy.

Początek nie zapowiadał nic szczególnie groźnego. Tyle że nie znając dojścia do ściany poprzez lodowiec, nie mogliśmy wyjść ze schroniska Gamba⁸ o północy – jak to czynili miejscowi alpiniści – tylko o świcie. Spowodowało to opóźnienie większe, niż się na oko wydaje, przejście bowiem lodowca w słoneczny dzień, przy silnie zapadającym się śniegu zajmuje nieraz kilkakrotnie więcej czasu niż w nocy, gdy śnieg jest zmarznięty. Skutkiem tego było już prawie południe, gdy po przejściu przepastnej szczeliny lodowcowej, dzielącej nas od przełęczy Freney, i po przerznięciu się czekaniem przez spiętrzenie czystego, twardego lodu stanęliśmy na obszernej platformie śnieżnej u początku właściwych trudności drogi.

Skwar południowego słońca potęgował się do niemożliwości. Śnieg rozmiękł jak masło, zapadaliśmy się w nim chwilami do pół uda. W czasie krótkiego odpoczynku musieliśmy wypróżnić plecaki i włożyć je na głowy, by uniknąć porażenia. Kto nie zna śnieżnych i często tak mroźnych Alp,

⁸ Stare schronisko Gamba zostało rozebrane w 1965 r. Obecnie w jego miejscu stoi nowoczesne schronisko Monzino (przyp. red.).

z trudem tylko może sobie wyobrazić potworny żar i upał panujące tam w słoneczne, letnie dni, wyobrazić sobie nieznośne pragnienie, które dręczy stale wędrowca. Te ciągłe kontrasty klimatu, ciągłe przeskoki od warunków polarnych do tropikalnych stanowią specyficzną trudność gór wysokich, tym większą, im góry są wyższe – największą oczywiście w Himalajach.

Przeszedłszy niepewny most śnieżny na wielkiej szczelinie, wkroczyliśmy w skały. Teraz rozpoczęły się długie godziny wspinaczki przez nie tyle trudne, ile kruche ścianki skalne, na których trzeba było zdejmować raki, to znów poprzez strome, zdradliwe półka lodu, gdzie raki okazywały się koniecznością. Lód był prawie całkiem ogołocony ze śniegu i wyjątkowo twardy, rąbanie w nim stopni czekaniem zabierało wiele czasu.

Już wtedy stało się oczywiste, że warunki na ścianie są o wiele gorsze niż zazwyczaj. Ciężar naszych plecaków, niezbyt może wielki do niesienia na ścieżce, stał się zupełnie nieznośny przy pokonywaniu trudności terenu. Zwiększał wielokrotnie wysiłek, zwalniał szybkość poruszania się. Czekan, trzymany w rękę, przeszkadzał na skale, raki – nie zdejmowane często przez pośpiech – także nie ułatwiały zadania.

Pod wieczór dotarliśmy w pobliże wierzchołka Picco Eccles, którego granią posuwaliśmy się dotychczas. Pierwszy biwak wypadł na podniebnej platformce, na wysokości około 4000 metrów nad poziomem morza⁹. Platformka była tak mała, że musieliśmy wbić kilka haków w skałę, przywiązać do nich płachtę biwakową i siebie samych, aby nie spaść w nocy. Kamienie przypadkowo przez nas strącone leciały z hukiem kilkaset metrów w dół – na lodowiec Frêne.

Noc była mroźna. Leżeliśmy w naszej płachtie to zasypiając na chwilę, to znów dzwoniąc z zimna zębami. Nic w tym zresztą niezwykłego – bywa tak często na biwakach alpejskich w ścianie. Wszystko w ogóle idzie jak dotąd dość normalnie, tylko jedna myśl nurtuje nas i dręczy coraz silniej: upłynął już cały dzień, a my przeszliśmy dotychczas tak niewielki, tak

⁹ Obecnie w tym miejscu stoi miniaturowe, niezagospodarowane schronisko. Ułatwia ono naturalnie w znacznym stopniu wejście na Mont Blanc poprzez Innominatę, a jednocześnie – jak słusznie zauważa Przewodnik Vallota – „cywilizuje miejsce o wyjątkowej dzikości, co jest godne pożałowania” (przyp. autora). Stare bivacco Eccles spaliło się w 1952 r. Nowy metalowy schron wybudowano w 1958 r. ok. 200 m niżej, na wys. 3850 m, na pd.-zach. grani Picco Eccles (przyp. red.).

diabelnie mały odcinek drogi. Nie doszliśmy przecież nawet do początku właściwej ściany Mont Blanc. Trudności dopiero się zaczną, a od szczytu dzieli nas jeszcze ogromna odległość. Czy wystarczy skromny zapas jedzenia i paliwa, który niesiemy ze sobą? Czy wystarczy nam sił?

Z niepokojem oczekujemy zbliżającego się dnia.

Rankiem, po zimnej nocy, słońce wita się z entuzjazmem, w południe przeklina się jego tropikalny żar, wieczorem, gdy na ścianę wkracza z wolna nieubłagany cień – budzi się tęsknota za słońcem, które ucieka na dalekie wierzchołki i granie. Człowiek spieszy się – sam nie umiałby określić, gdzie i po co, rad by wejść na każdą wystającą ze ściany skałę, goniąc ostatki słonecznych blasków.

Teraz – rano 7 sierpnia 1937 roku – słońce jest dobrodziejstwem: nasze wilgotne rękawice, skarpetki i swetry schną błyskawicznie.

Skalistą grzędą, a potem ostrą, śnieżną granią wychodzimy za wierzchołek Eccles. Szybko zbiegamy na pobliską przełęcz Eccles. Partię graniową mamy już poza sobą, teraz czeka nas przejście właściwej południowej ściany Mont Blanc, w którą nasza grań wrosła.

Widać stąd od razu, że droga jest trudniejsza, niż się tego spodziewaliśmy. Obliczamy nasz zapas prowiantu. Wystarczy z biedą na dwa dni, a benzyny do prymusa na jeszcze krócej. Trudno – musimy oszczędzać jednego i drugiego. Oszczędzać i spieszyć się.

Łatwą z początku grzędą dochodzimy pod spiętrzający się pionowo uskok, przecięty wąską rysą. W górnej części uskoku czekają nas największe na tej drodze trudności skalne. Rysą pierwszy idzie mój towarzysz. Wychodzi na małą półeczkę, gdzie rysa zwęża się i przewiesza. Tam wbija hak asekuracyjny i winduje na linie swój plecak. Teraz ja dochodzę do niego, walcząc z ciasnotą rysy i diabelnie zawadzającym workiem na plecach.

Na półeczce widzę, że sprawa jest poważna. Z rysy pozostała niepozorna szczelinka przecinająca sześciometrową, potężnie przewieszoną ściankę, która wznosi się nad nami. Pierwsze dwa metry ścianki nie wykazują żadnych możliwości wejścia, natomiast wyżej – klinując lewą stronę ciała w owej szczelinie – można wydostać się w górę. Wniosek stąd prosty: dolny odcinek trzeba pokonać za pomocą tzw. „żywej drabiny”, to jest, stojąc na ramionach towarzysza, dosięgnąć dogodnych chwytów i stopni. Jak się później dowiedziałem, tak właśnie to miejsce się pokonuje.

Staję więc na barkach Tadeusza i nie zważając na jego stękania, obmyślam dokładnie plan dalszego wejścia. Następnie lewą dłoń i stopę klinuję w szczelinie, a prawą nogę opieram na odległym o półtora metra występku skalnym. Teraz trzeba wbić nowy hak, by zmniejszyć ryzyko wspinaczki nad kolosalną przepaścią.

Sytuacja, w której się znajduję, nie należy do wygodnych. Stopy bolą tak, że chciałoby się krzyczeć, a tu nie można nawet poruszyć nogą, zanim hak nie zostanie wbity. Trzeba powoli, cierpliwie zdjąć wiszący na szyi młotek, potem odpiąć od pasa hak z wiecznie zacinającym się w takich razach karabinkiem, wyszukać w skale wąską szparkę, wetknąć w nią hak – wszystko to jedną ręką – wreszcie pobijać hak młotkiem, z początku ostrożnie i lekko, żeby nie wypadł, potem coraz mocniej.

Za to, gdy hak „siedział” już dobrze, mogłem złapać się go obu rękami, zwisnąc nieco i ulżyć zmęczonym stopom. Dalej sprawa była już prosta. W kilka chwil znalazłem się ponad ścianką. Teraz czekało mnie męczące windowanie kolejno obu plecaków, czekanów i butów, które pod ścianką odjeliśmy. Następnie towarzysz pokonał ściankę i znalazł się obok mnie.

Z półki, na której siedzieliśmy, widać było doskonale słynną grań Peutérey: wierzchołek Aiguille Blanche de Peutérey i przełęcz pod nią. Wydawała się tak bliska, że można by prawie dorzucić kamieniem. Właśnie zza skał grani wyszło trzech alpinistów. Zbiegli do olbrzymiej szczeliny brzeżnej i rozsypali się nad nią w poziomy łańcuch. Szczelinę przeskoczył najpierw środkowy z alpinistów, asekurowany liną z dwóch stron przez pozostałych. Potem kolejno przeskoczyli tamci dwaj.

Z przełęczą zobaczyli nas – pozdrowiliśmy się okrzykiem i gestem ręki. Idą dalej. Rąbiąc stopnie w lodowej stromiźnie wspinają się granią w kierunku Mont Blanc. Zdumiewa nas szybkość ich marszu w górę. Był to, jak się później dowiedzieliśmy, zespół znanych alpinistów austriackich, a wśród nich Peringer, słynny ze swych znakomitych wejść na Kaukazie.

Czas i nam wyruszyć. Krótki, przykry trawers po zlodowaciałym śniegu – bez raków dla pośpiechu – potem kominiek wiodący na krawędź grzędy, śmieszne skalne okno przykryte wielkim głazem niby okapem, jeszcze jeden bardzo trudny uskoki, jeszcze kilkadziesiąt metrów ciężkiej wspinaczki i już pierwsze trudności ściany mamy poza sobą.

Łatwiejszym terenem idziemy w górę, rozglądając się przy tym za jakąś platformą nadającą się na biwak. Spieszymy się, bo słońce uciekło już ze ściany – idziemy w mroku i chłodzie.

*

Trzecią już z rzędu noc spędzamy w ścianie Mont Blanc. Burza śnieżna trwa. Leżymy w płachcie biwakowej, strzepujemy z twarzy śnieg, który sypie się do środka przez szpary, i szczękamy zębami. Jest zimno, zbyt zimno, żeby spać, choć każdy z nas ma na sobie po dwa grube swetry i brezentową wiatrówkę, a twarz zasłonił wełnianym szalem.

Próbuję zapalić fajkę. Wydaje mi się, że to rozgrzewa. Zresztą rozgrzewa na chwilę każde silniejsze poruszenie. Mimo to trwamy w apatycznym odrętwieniu, bo brak już energii na wyjście z bezruchu.

Wielka gumowana koperta, w której biwakujemy, po kilku godzinach „snu” zawiera tak mało tlenu, że wszelkie próby zapalenia fajki nie dają rezultatu. Można wprawdzie rozpiąć nieco płachtę i wpuścić trochę powietrza, ale wtedy gwałtowny wicher ze śniegiem wedrze się do środka.

Odkładam więc z rezygnacją fajkę i usiłuję zasnąć. Zasnąć i zapomnieć, że jesteśmy w środku kolosalnej ściany alpejskiej w sytuacji wprost katastrofalnej.

Któż by z nas spodziewał się tego jeszcze dziś rano, kiedy w potokach słońca wkraczaliśmy na lodowe zbocza olbrzymiej depresji huczącej lawinami! Ten trzeci już dzień wspinaczki z ciężkim bagażem na plecach nadszarpnęła nasze siły, ale mimo to parliśmy naprzód, a każdy wyrąbany w lodzie stopień zbliżał nas o krok do skalistej grzędy widniejącej na tle nieba. Grzędy tej wyczekiwaliśmy jak zbawienia. Wydawało się, że zaprowadzi ona łatwo i szybko na grań szczytową Mont Blanc. Godziny upływały, a im bliżej byliśmy grzędy, tym silniej ogarniało nas poczucie bliskiego zwycięstwa. Po cichu zaczynaliśmy nawet mieć nadzieję, że może już dzisiaj będziemy nocować w schronisku Vallot pod szczytem Mont Blanc, które, choć prymitywne i nie zagospodarowane – wydawało nam się teraz bezpieczną przystanią.

Nawet niewytłumaczone zniknięcie mojego młotka do wbijania haków – strata, która tak fatalnie miała zaciążyć nad dalszym przebiegiem wyprawy – nie potrafiło nas zmartwić na długo. Trudno – zniknęła, to

zniknął – będziemy sobie jakoś radzili bez niego. Gorzej, że pogoda psuła się najwidoczniej. Ciężkie burzowe chmury nadciągnęły od południa, otoczyły nas zewsząd i zakryły świat. Gdy na śnieżnej przełączce upragnionej grzędę zapalałem papierosa, wiedziałem już, że nie będziemy nocować u Vallota ani dziś, ani może nawet jutro, bo grzęda spiętrzała się nad nami w skrzesanych uskokach ginących we mgle, a burza śnieżna zbliżała się szybko, by ogarnąć nas za chwilę...

Diabelnie niemiło wspinać się ciasnym, pionowym kominkiem z ramionami obciążonymi plecakiem. Wyrąbywałem czekanem miniaturowe stopnie dla oparcia dwóch przednich kolców raków, a marznące palce rąk obejmowały sople lodu. Sople trzeszczały niepokojąco, groziły oderwaniem.

Burza śnieżna rozpozczęła się na dobre. Pole widzenia zacieśniło się do kilku najbliższych metrów. Dalej zacierało się w szarości zadymki. Ostry wicher przenikał nas poprzez swetry i wiatrówki. Mokry śnieg wciskał się za kołnierz i nasycił wilgocią.

Stromość grzędę nie złagodniała. Coraz to się spiętrzała odsłaniając oczom uskok za uskokiem. Teraz, chcąc nie chcąc, odpinam raki, by wykonać skomplikowany trawers skalny, który trudnością i charakterem nasuwa nam obu porównanie ze słynnym „dolnym trawersem” na tatrzańskiej Zamarłej Turni. Po nim na odmianę – przykre, oblodzone płyty. Wyżej spiętrza się pionowa ścianka śnieżna. Wbijam w nią ręce poza łokcie, nogi wkopuję głęboko. Śnieg jest tu podejrzanie miękki. Utrzyma, czy runie w dół? Utrzymał!

Głęboką szczeliną pomiędzy śniegiem a przewieszoną skałą przeciskam się kilka metrów w prawo i staję na dość obszernej półeczce pod nowym uskokiem. Od biedy można by tu biwakować, zwłaszcza że robi się coraz ciemniej, a burza coraz bardziej przybiera na sile. Wyżej jednak, kilkanaście metrów nade mną, grzęda obiecuje wygodną platformę i, kto wie, może koniec trudności. A więc – nie ma się co zastanawiać, ostatni uskok nie będzie chyba gorszy niż poprzednie.

Usiłuję przekrzyczeć ryk burzy, aby porozumieć się z towarzyszem. Dochodzi do mnie i usadawia się wygodnie na półeczce, zapewniając mi dobrą asekurację. Wiatr, śnieżnica, trudności drogi – wszystko to podnieca nerwy, dopinguje do wysiłku i pośpiechu. Pośpiechu nieopatrznego, który już sam w sobie nosi zarodek niebezpieczeństwa. Tak jak stałem,

z czekaniem zwisającym na pętli z przegubu prawej dłoni, w rakach, z ciężkim workiem na plecach, wparłem się w ścianę uskoku.

Od razu widzę, że jest źle. Wychodzę kilka metrów. Trudno, nadzwyczaj trudno. Stoję teraz na miniaturowej listewce skalnej i rozmyślam, że w tych warunkach iść w górę bez wbijania haków byłoby prostym szaleństwem. I nagle uświadamiam sobie: zgubiłem młotek. Drugi, wraz z wszystkimi hakami, ma mój towarzysz. Sytuacja staje się groźna, bo trzeba po nie wrócić, ale i wracać bez wbicia haka jest bardzo trudno. Trzeba jednak spróbować. Szczęście, że mam przynajmniej dobrą asekurację.

Robię krok w dół i natychmiast orientuję się, że jest znacznie gorzej, niż było. Trzymam się kurczowo skały, bo na maleńkich stopniach stoję kolcami raków tak niepewnie, że nie mogę ani na chwilę oderwać ręki od skały. Wydaje mi się, że na prawo znajdę wygodniejszy stopień. Wyciągam nogę daleko, rozpieram się... i czuję, że za chwilę polecę.

– Asekuracja! Uwaga! Ściągnij linę! – wołam do towarzysza, a jednocześnie usiłuję przenieść czekan nieco w górę, zaczeplić jego ostry, stalowy dziób w szczelinę skalną. Koncentruję na tych wysiłkach resztki energii.

– Uwaga, zaraz polecę! – mówię znowu.

Towarzysz milczy napinając linę, którą jesteśmy ze sobą związani. Upływają minuty – na wietrze i chłodzie palce, którymi trzymam się skały, marzną mi dotkliwie i coraz bardziej tracę władzę w rękach. Za chwilę chwytły wysuną mi się ze sztywniejących dłoni.

– Lecę! – powiedziałem jeszcze, czując, że odrywam się od skały.

Spadłem na położoną niżej płytę – na nogi. Odbiłem się od niej jak piłka i głową w dół runąłem w próżnię. Świat zawirował dookoła. Jak oszalała karuzela przeleciały mi w oczach kominy, żleby, lodowe płasnie i skalne grzędy.

Znikły. Zostały tylko chmury i przestrzeń. Nagle, bolesne zetknięcie ze skałą. Zbudzony instynkt życia każe się ratować do ostatka. Poczulem, że – ciągle do góry nogami – sunę na plecach po stromym, piarzystym żlebku. Gwałtownie wysuwam w tył łokcie i ze wszystkich sił hamuję pęd. Zatrzymałem się!

Leżę bez ruchu. Nie od razu wracam do rzeczywistości. Z bezkształtnej mgły przed oczyma wyłania mi się głęboko w dole lodowiec, położony o jakieś 1000 metrów poniżej mej głowy. Nieokreślony szum w głowie znika,

a słabym jakby jego przedłużeniem jest stuk drewnianego kija spadającego po głazach. Czekan – zrozumiałem natychmiast – zgubiłem czekan!

Z góry spływa stroskany głos:

– Czy nic ci nie jest?... I czy w ogóle żyjesz?

Przekręcam się o 180 stopni i gramolę źlebkciem w górę.

– Naturalnie, że żyję. I nic mi właściwie nie jest, tylko zgubiłem czekan! – mówię dochodząc do półeczki, gdzie zostawiłem towarzysza. – Zabiwajemy tu chyba?

Mówię to z trochę nienaturalną wesołością, ale w chwilę potem – patrząc tępo, jak towarzysz czyni przygotowania do noclegu – czuję ostry ból w prawej kostce, ciało piecze mnie od potłuczeń, boję się spojrzeć w dół, a nogi dygocą pode mną z nagłego wyczerpania i rozluźnienia napiętych nerwów.

*

Gwałtowny atak zimna przerywa mi bieg myśli. Szczęki latają jak w gorączce, ciałem wstrząsają dreszcze. Słyszę obok siebie poruszenie i teraz już obaj z towarzyszem kłapiemy zgodnie zębami jak w napadzie febrы.

Noc wlecze się beznadziejnie wolno. Minuty rozciągają się na kwadransy, kwadransy – na godziny.

Natrętnie powracają do mojej świadomości słowa towarzysza, wypowiedziane kilka godzin temu. Napomknąłem wtedy, że nie bardzo wierzę, abym mógł się nazajutrz wspinać bez czekana i ze zwicniętą nogą,

– No cóż – powiedział – w najgorszym razie zostaniemy tutaj.

Słowa te wyrzekł jakoś dziwnie lekko, jakby mimochodem. Z przeraźliwą jasnością zrozumiałem, co oznacza ten pozornie beztroski ton: rezygnację, zobojętnienie na wszystko, świadomość beznadziejności naszej sytuacji. I wtedy – właśnie wtedy, chyba jedyny raz w górach pomyślałem, że właściwie nie mamy żadnych szans ratunku: pierwszy raz pomyślałem o śmierci.

Każdy z nas wyniósł z lektury lat młodzieńczych pełne grozy i patosu obrazy zmagania człowieka z siłami przyrody. Obrazy ginących kolejno w śnieżnej zamieci członków wyprawy polarnej Scotta, tragedie bohaterów zdobywców Alp czy Himalajów rozpałały młodą wyobraźnię, a podziw i entuzjazm dodawały im romantycznego blasku. Teraz obraz taki przestał być literaturą, stał się naga, konkretną rzeczywistością. Tkwiłiśmy uwięzieni w środku ogromnej ściany alpejskiej, najbliżsi

ludzie znajdowali się o kilka dni drogi od nas. Byłem rozbity, potłuczony, pozbawiony czekana, burza śnieżna szalała z gwałtownością, która nie pozwalała nawet marzyć o opuszczeniu płachty biwakowej. Jedzenia i paliwa nie mieliśmy już wcale. Zadymka mogła potrwać nawet kilka dni. A wtedy – czyż rzeczywiście „zostaniemy tutaj”?

I trudno się było ludzić: nasza sytuacja od wielu godzin stała się powolnym konaniem. Widziałem w myśli dwa zeszytowane trupy – tu, na tej podniebnej półce skalnej – zawinięte w pokrytą lodem płachtę, przywiązane sznurami do wbitych haków.

Nie – wiercie mi – to nie wydawało mi się wtedy romantyczne. To było po prostu okropne – okropne i przerażające w swej brutalnej, niszczycielskiej przemocy.

Czy odczuwałem strach? Z pewnością. Ale jednocześnie uprzytomnienie sobie całej grozy sytuacji wywołało uczucie gwałtownego buntu przeciw owym siłom przyrody, które się na nas sprzysięgły. Nie, nie zostaniemy tutaj! Czuję wzmagający się przypływ energii, przypływ potężnego, pierwotnego instynktu nakazującego ratować życie. Wydawało mi się, że mógłbym porwać się już, zaraz, w środku nocy, iść dalej, zмагаć się ze skałą i lodem – walczyć.

Godziny upływają powoli. Za cienką ścianą naszego schronienia wiatr ucisza się stopniowo. Śnieg sypie dalej, ale już nie tak gęsto, jak wieczorem. Budzi się nadzieja. Czyżby burza miała się ku końcowi? Czyżby nie była zapowiedzią dłuższego okresu niepogody, jak tego obawialiśmy się? Nowe uderzenia wichru przywołują nas do rzeczywistości. Mimo wszystko zmęczenie bierze górę. Robi nam się jakby cieplej, przestajemy szczękać zębami i w sennym odrętwieniu oczekujemy świtu.

Poranek wita nas słońcem. Słońce oznacza ciepło – dla nas oznacza życie. Czujemy się jak ludzie, którzy wygrali wielki los na loterii. Szybko zwijamy biwak, pakujemy plecaki. Ściana pokryta jest sporą warstwą świeżego, mokrego śniegu. Ale to nic. Trzeba iść – iść w górę za wszelką cenę. Przecież trudności ściany kiedyś się wreszcie skończą! Próbuję stanąć na nadwerężonej stopie. Boli, i to porządnie, ale nie ma rady. W walce ze skałą będąc musiał zapomnieć o bólu.

Fatalną ściankę, z której wczoraj zleciałem, pokonuję obecnie z najdalej idącą ostrożnością, zdjąwszy raki i plecak, bijąc gęsto haki asekuracyjne.

Poszło to niełatwo. Pomijając zmęczenie i ból nogi – sędzę, że w każdym wypadku miejsce to można by określić jako „nadmierzają trudne”.

Jeszcze jeden pionowy uskok wypadło nam przezwyciężyć, ale ponad nim grzęda stawała się coraz dostępniejsza. Powoli zamieniła się w wąską i ostrą krawędź – stromą, ale stosunkowo niezbyt trudną. Na prawo widniały dzikie, poszarpane obrywy południowej ściany Mont Blanc, na lewo – w głębokim żlebie bezustannie sunęły lawiny.

Co kilka minut z hukiem wystrzału armatniego ruszają zwały śniegu, lodowe bloki, wielkie głązy. Przewalają się o kilkadziesiąt kroków od nas jak rzeka górską wezbrana powodzią. Z szumem i sykiem prześlizgują się przez strome pola śnieżne, by potem z ich krawędzi runąć grzmiącą kaskadą. W dusznym upale południowego słońca, w powietrzu drgającym od żaru – zewsząd płynie zimna groza śmierci. Wśród tego nasza wąska grań pnie się w górę jak ścieżka nadziei.

Strome, lodowe zbocze, do którego teraz doszliśmy, zwiastuje, że główna grań już niedaleko. „Niedaleko” – to jest pewnie jeszcze 200 albo 300 metrów nad nami. Tymczasem, podobnie jak wczoraj, rozpętuje się znów burza śnieżna. Mgła i zadymka, przez które z trudem się przebijamy, zakrywają nam upragniony widok: poziomą linię grani, ostro rysującą się na tle nieba. Teren wymaga ustawicznego rąbania stopni, do czego używamy jedyne pozostałego czekana. Pomagam sobie także, ile się da, trzymanym w rękę ostrym hakiem służącym do asekuracji w lodzie.

Południowo-zachodnia grań Mont Blanc de Courmayeur¹⁰ przynosi nam – wyczerpanym do ostatka – jeszcze jedną przykrą niespodziankę. Grań ta bowiem to ostrze śnieżne o bardzo wąskiej krawędzi poprzerywanej gdzieniegdzie skalistymi uskokami. Biegnie w górę, a po obu jej stronach rozwierają się kolosalne otchłanie. Nie jest to może droga bardzo trudna, ale nie na tyle łatwa, by ludzie zmordowani czterodniowym, niezwykle ciężkim wysiłkiem mogli nią dojść do szczytu nocą, i to w zawieję. Cóż robić? Czekają nas jeszcze jeden biwak. Czwarty.

¹⁰ Od miejsca, w którym osiągnęliśmy grań Mont Blanc de Courmayeur, ciągnie się ona do głównego wierzchołka jeszcze na przestrzeni około 1 km. Szczegół ten daje pojęcie o alpejskiej skali odległości (przyp. autora).

Posuwamy się jakiś czas w górę, licząc, że grań się rozszerzy i pozwoli przynajmniej znaleźć dostatecznie wygodne miejsce na nocleg. Ściemniło się zupełnie, a grań była dalej ostra jak nóż. Zrezygnowani, zatrzymujemy się przy jakiejś niewielkiej skałce sterczącej ze śniegu i tam wygrzebujemy mikroskopijną platformkę. Zabezpieczenie przed upadkiem w dół, jakie mogliśmy sobie zapewnić za pomocą jedynej czekana, haków i liny, było tak wątpliwej wartości, że nie pozostawało nam nic innego, jak liczyć na osobiste szczęście.

Był to najcięższy z czterech kolejnych biwaków, które odbyliśmy w czasie wejścia na Mont Blanc poprzez Innominatę. Nasza płachta do spania wisiała nad kilkusetmetrową przepaścią w sposób, który nawet dziś we wspomnieniach przejmuję mnie dreszczem. Początkowo bowiem siedzieliśmy na śnieżnej platformce, opierając się nogami o ową sterczącą skałkę. W ciągu nocy jednakże – zdrętwiali i kulący się z zimna – zsuwaliśmy się coraz bardziej na dno naszego worka, który w końcu zawisł na kształt jaskółczego gniazda, przywiązany liną do czekana wbitego w śnieg po przeciwnej stronie grani. Życie więc nasze zależało w ciągu kilku godzin tylko od węzła zawiązanego wieczorem sztywnymi z zimna rękami i... od wytrzymałości cienkich ścianek płachty biwakowej.

Burza trwała całą noc. Śnieg wciskał się znowu do środka naszego schronienia. Jedzenia nie było już wcale: zostało tylko trochę herbaty. Brak benzyny uczynił nasz prymus bezużytecznym. Mieliśmy jeszcze kilka kostek mety¹¹ i świeczkę. Za ich pomocą udało nam się roztopić menażkę śniegu, a nawet doprowadzić wodę do stanu gorącego. Wyczerpani, zmarznięci i głodni, z utęsknieniem czekaliśmy na moment, kiedy herbata będzie gotowa, marząc o błogosławionym cieple, które w nas wleje. W pewnej chwili nieostrożne drgnienie jednego z nas przewróciło garnek i cała woda wylała się. Bolesne oparzenie i moment gwałtownego przypływu bezsilnej wściekłości. Po chwili refleksja: trudno, herbaty i tak już nie będzie... Zostało tylko jeszcze bardziej przemoczone ubranie, potęgujące uczucie chłodu.

I znowu godziny przetrwane w febrycznych dreszczach i beznadziejnym szczękaniu zębami. I znowu słońce poranka dające życie, dające siły do wyjścia z martwego bezruchu nocnej męczarni – siły do wymarszu.

¹¹ Meta – rodzaj paliwa preparowanego w tabletkach (przyj. autora).

Znajdujemy w sobie energię do dalszej wspinaczki po nietrudnych już na szczęście uskokach, do wleczenia się coraz łatwiejszą granią, do wyszukania żmudnego i zawikłanego obejścia turni wierzchołkowej Mont Blanc de Courmayeur.

W potokach słońca, w powietrzu gęstym od upału jak smoła, przecinamy skośnie niepewne, lawiniaste zbocze o rozmiękłym śniegu.

Coraz częściej musimy na stojąco robić krótkie odpoczynki. Słońce rano było dobrodziejstwem, teraz wysysa z nas resztki sił. Ale to już ostatnie niebezpieczeństwa i ostatnie zmagania. Gdy osiągnęliśmy szeroką przełęcz¹² poza szczytem Mont Blanc de Courmayeur, wiemy, że nasza walka jest skończona.

Na głównym wierzchołku Mont Blanc widać ludzi! Kręcą się tu i tam, patrzą ku nam – kiwają z daleka rękami. Dzieli nas od nich może 300 metrów szerokiego, łagodnie nachylonego grzbietu. Idziemy nim zwolna, klucząc wśród szczelin. Pot spływa kropliście, ciemne plamy wirują przed oczyma, ręce drżą od nadmiernego wysiłku. Słońce pali bezlitośnie i zalewa oślepiającym blaskiem wszystko: śnieg i skały, powietrze i góry.

¹² Col Major, 4741 m (przyp. red.).



Droga przez Innominatę
1 – stare bivacco Eccles, 2 – nowe bivacco Lampugnani

Grań Peutéry i lodowiec Brouillard





Grzęda południowej ściany Mont Blanc. Fot. Wawrzyniec Żuławski

*Trudno dostępne schronisko
Noire jest miejscem, gdzie
spotyka się czołowych
przedstawicieli świata
alpinistycznego. W drzwiach
stoi Tadeusz Orłowski*
Fot. Wawrzyniec Żuławski



Aiguille Noire od południa



Spis treści

WSTĘP	3
NOTA REDAKCYJNA	13
PODRÓŻ W NIEZNANE	15
ALPY W ŚNIEŻYCY	25
ALPY W SŁOŃCU	39
BURZA NA MONT BLANC	49
INNOMINATA	63
W POWROTNEJ DRODZE	81
U STÓP MATTERHORNU	93
W ALPACH BERNEŃSKICH	99
CZERWONY WARTOWNIK	107
MORZE LODU	121
PODNIĘBNY BIWAK	133
WE MGLE	139
FILAR BOCCALATTEGO	151
ROZSTANIE Z ALPAMI	161
SŁOWNIK TERMINÓW WYSOKOGÓRSKICH	169
SŁOWNIK NAZW GEOGRAFICZNYCH	187
INDEKS OSÓB	231